

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

14

— Cóż ja mogę odpowiedzieć na to?... Przecież ja nic podobnego nie widziałam u niej i nie wiem nawet, co ona miała.

Nie wątpię wcale o tem, iż mówi prawdę i nie chciałem przedłużać tej ciężkiej sceny, zwłaszcza, iż winniśmy byli posłać jeszcze depeszę do Grysa. Wziąłem panią Belden za rękę i chciałem ją wyprowadzić, lecz uklękła przed ciałem Dzen i rzekła:

— Tu jest moje miejsce i nigdzie stąd nie odejdę.

Gdy zaproponowałem agentowi, by udał się zaraz na pocztę, nie zgodził się na to i odparł:

— Dotąd nie wyjdę, dopóki ta kobieta nie opuści tego pokoju i dopóki pan nie przyrzeknie mi, że będzie sam zamiast mnie na nią uważał.

— Za daleko pan zaszedł w swych podejrzeniach — odpowiedział mu — i zbyt pan jest okrutny. Nic jeszcze nie znaleźliśmy takiego, co by usprawiedliwiało podobne zachowanie się z nią, a przytem nie wiem, co by ona mogła tu zrobić złego. W każdym razie przyrzekam, że będę na nią uważał.

— Nie chcę, by pozostawała tutaj — upierał się agent. Niech pan sprowadzi ją na dół, dopóki bowiem będzie w tym pokoju, nie wyjdę wcale z domu.

— Zdaje mi się, że pan się zapomina i wyobraża sobie, że jest tu panem.

— Może być, że mam po temu swe powody. Posiadam coś takiego, co usprawiedliwia moje postępek.

— List, zapewne?

— Tak.

— Niech mi go pan da do przeczytania — rzekłem, wyciągając rękę.

— Nie dam, dopóki ta kobieta stąd nie wyjdzie.

Ponieważ pozostawał niewzruszonym, musiałem zwrócić się znowu do pani Belden.

— Chcę prosić, by poszła pani ze mną — rzekłem jej — tego wypadku nie możemy uważać za zwykłą śmierć. Należy zawiadomić o tem sądziego śledczego, najlepiej więc będzie, jeżeli pani narazie się stąd oddali.

— Niech pan posle po sądziego, mieszka tu w sąsiedztwie, ja jednak zostanę tutaj.

— Lecz po co to? — spytałem z niezadowoleniem. Jeżeli będzie się pani tak upierała, to będę zmuszony oddać panią pod nadzór tego człowieka, a sam pójdę po sądziego.

Słowa te podziały na nią. Rzuciła pełne wzgardy spojrzenie agentowi i powstając, rzekła:

— Jestem w pańskiej mocy!

Potem nakryła chustką od nosa twarz zmarłej i wyszła w milczeniu z pokoju. W minutę potem miałem w rękach list, o którym mówił agent.

— Ten tylko list znalazłem — rzekł mi — był on w kieszeni sukni, którą pani Belden miała wczoraj na sobie; drugiego listu nie odnalazłem, zdaje mi się jednak, że ten jeden wystarczy.

Wziąłem list; był to mniejszy z tych dwóch, które pani Belden odebrała wczoraj z poczty; drugiego, większego listu nigdzie nie było. Treść znalezionej listy była następująca:

„Droga Przyjaciółko!

„Znajduję się w strasznym położeniu. Zawiadamiam panią o tem, ponieważ wiem, że pani mnie lubi. Nie mogę się wdawać w szczegóły, mam jednak do pani wielką prośbę. Proszę bez żadnych skrupułów i rozmyślań zniszczyć jeszcze dzisiaj to, co pani otrzymała do przechowania. Zgody drugiej osoby nie potrzeba — musi mi pani być posłuszną, w przeciwnym razie zginęłam. Niech pani spełni mi prośbę i ocali tę, która panią kocha.“

List był adresowany do pani Belden; nie miał on ani podpisu, ani daty, wysłany był jednak z Nowego Jorku. Dobrze znałem charakter tego pisma; list ten pisała Mary Lavenfort.

— Dość podejrzany jest ten list — zauważył znacząco agent; — kompromituje on tak posyłającą, jak i adresatkę.

— Istotnie, jest to niezwykle obciążający szczegół — potwierdziłem. — Na szczęście dowiedziałem się zupełnie przypadkowo, iż treść listu nie odnosi się, jak pan myśli, do Dzen; jest tu mowa o dokumentach, które oddano pani Belden na przechowanie.

— Jest pan o tem przekonany?

— Najzupełniej. O tem porozmawiamy jednak później, a narazie należy wysłać jak najprędzej depeszę i zawiadomić sądziego śledczego.

— Według rozkazu! — i przy słowach tych wybiegł pospiesznie z domu.

Panią Belden spotkałem na dole w korytarzu, chodziła po nim od jednego końca do drugiego i żaliła się gorzko na straszne położenie, w jakim się znalazła; najbardziej jednak bolało ją to, iż nie będzie śmiała pokazać się na oczy pastorowi i sąsiadom. Z wielkim trudem udało mi się wreszcie ją uspokoić. Skłoniłem ją, by siadła i wysłuchała mnie.

— Szkodzi tylko pani sobie tem nadmiernem oddawaniem się rozpaczom — rzekłem jej. Winna pani skupić swe myśli i siły, by mężnie znieść to, co jeszcze dzisiaj panią oczekuje.

Następnie zapytałem jej, czy nie ma jakich krewnych lub znajomych, którzy mogliby okazać jej jaką pomoc w tak ciężkiej chwili.

Ku memu zdziwieniu odpowiedziała przecząco na to pytanie.

— Mam sąsiadów i dobrych znajomych — odparła — nie mam jednak nikogo, na kim mogłabym polegać w tak trudnych okolicznościach i całą nadzieję pokładam w panu.

Wzruszyła mnie bezwiednie taka ufność i zapewniłem ją, że gotów jestem uczynić dla niej wszystko, co mogę, lecz przede wszystkim winna być ze mną zupełnie szczerą. Doznałem wielkiej ulgi, gdy oznajmiła mi, że bezzwłocznie chce mi wszystko opowiedzieć.

— Dosyć już mam tych wszystkich tajemnic — zaczęła. — Mam teraz takie wrażenie, jakbym czuła się zmuszoną do opowiedzenia całemu światu tego, co uczyniła dla Mary Lavenfort. Zaklinam jednak pana na wszystko, niech mi pan powie przedtem, w jakim położeniu znajdują się obie panny? Nie śmiałam rozpytywać o to, ani pisać do nich. W gazetach wymieniają często imię Eleonory, a nie wspominają wcale o Mary, tymczasem Mary pisze mi, że grozi jej będzie wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli rozgłosi się kilka faktów z jej życia. Gdzież tedy prawda?

— Proszę pani — odparłem — Eleonora dlatego znalazła się w tak ciężkich warunkach, bo nie chciała powiedzieć wszystkiego, co wiedziała. Co zaś do Mary... Nie mogę jednak mówić o niej, dopóki pani nie wyzna wszystkiego, co wie. Położenie obu panien do tego stopnia jest niejasne i zagmatwane, iż nie potrafiłbym nawet przedstawić pani tego. Od pani zaś chcemy się tylko dowiedzieć, w jaki sposób pani została wmieszana do tej ciemnej historii, jaki udział przyjmowała w całej tej sprawie Dzen i dlaczego uciekła ona z Nowego Jorku i schowała się tu u pani.

— Pan może nie uwierzy mi — zawołała pani Belden, załamując ręce — lecz ja naprawdę nie wiedziałam, czy Dzen wie cokolwiek o tem zabójstwie. Nic mi nie opowiadała, a ja też o nic jej nie pytałam. Powiedziała mi tylko, iż panna Lavenfort chce, aby ona ukryła się u mnie na pewien czas, ponieważ zaś lubi bardzo Mary, na tyle okazałam się słabą, iż spełniłam jej prośbę i...

— Czyżby pani chciała powiedzieć, że bez względu na okrywającą to zabójstwo tajemnicę przyjęła pani i ukryła u siebie Dzen tylko dlatego, ponieważ prosiła o to Mary Lavenfort, że pani nie wie nawet, jaki udział ona przyjmowała w tej sprawie i nie pytała jej pani o nic?

— Tak, wszystko to tak było, chociaż pan może nawet w to i nie uwierzy. Sądziłam, że jeżeli Mary przysyła tutaj tę dziewczynę, to musi mieć jakieś przyczyny do tego i... teraz, gdy cała sprawa przyjęła taki obrót, nie umiem nawet wyjaśnić panu wszystkiego.

— Istotnie, to było dość dziwne z pani strony. Czyż pani zawsze tak ślepo poddawała się życzeniom Mary Lavenfort?

— Cała rzecz w tem — odpowiedziała z westchnieniem biedna wdowa — iż ja zawsze ubóstwiałam miss Lavenfort i tłómaczyłam sobie wszystko po swojemu. Sądziłam, że z powodu jakiegoś nieznanego mi wypadku, związaną ona jest jakimiś węzłami z przestępcą, który dopuścił się tej haniebnej zbrodni i zdawało mi się, że najlepiej przeto nie pytać o nic, a robić tylko to, co mi każe, sprawa zaś ca-

ła sama się wkrótce wyjaśni. Kierowałam się w danym wypadku nie rozsądkiem, lecz głosem swego serca. Jeżeli prosi mnie o cokolwiek osoba, którą kocham, to ja nie mogę jej odmówić.

— I pani kocha Mary Lavenfort, chociaż przypuszcza pani, że ona zdolna jest do takiego występku?

— Ja nie uważam jej za winną, myślę tylko, iż przypadkowo została wmieszana do tej sprawy.

— A co pani wie o Mary takiego co dało powód pani do podobnych przypuszczeń?

Błada dotychczas twarz gospodyni zalała się żywym rumieńcem.

— Nie wiem, co mam panu odpowiedzieć na to — odrzekła — jest to długa historia.

— Nic nie szkodzi, niech mi pani wszystko opowie.

— Chodzi o to, iż Mary znalazła się w rozpaczliwym położeniu, z którego mogła ją wyzwolić tylko śmierć stryja.

— Jakież to było położenie?

W chwili tej rozmowę naszą przerwały czyjeś kroki na werandzie: był to agent, wracający jednak sam. Opuściłem na chwilę panią Belden i wyszedłem do niego:

— I co? — zapytałem — nie zastał pan sądziego śledczego? Nie było go w domu?

— Nie, wyjechał. O dziesięć mil stąd zdarzył się jakiś nieszcześliwy wypadek — mrugnął przytem znacząco oczami i dodał: — dużo jeszcze czasu upłynie, zanim powróci.

— Zapewne drogi są bardzo złe? — rzekłem i westchnąłem z pewną ulgą.

Rzeczywiście bardzo złe. Prędzej można tam dojść pieszo, niż dojechać!

— Tem lepiej dla nas. Pani Belden zamierza opowiedzieć mi długą historię.

— I chciałby, pan, aby nikt panu nie przeszkadzał słuchać? Rozumiem.

Kiwnąłem potakująco głową; agent skierował się do drzwi.

— Telegrafował pan do Grysa?

— Owszem.

— Sądzi pan, że przyjedzie?

— Napewno, nawet gdyby musiał opierać się na kulach.

— Kiedy go pan oczekuje.

— Dla pana będzie tutaj o trzeciej godzinie.

Przy słowach tych włożył kapelusz i wyszedł powoli na ulicę z miną człowieka, który ma jeszcze cały dzień przed sobą i nie wie, czem się zająć. Ja udałem się do pani Belden i oznajmiłem jej, że sądziego śledczego wyjechał i nie prędko wróci, że mamy więc przed sobą kilka godzin, podczas których może mi spokojnie opowiedzieć swoją historię. Bez zwłoki też przystąpiła do opowiadania.

Pierwszą część historii pani Belden częściowo już znałem. Przez ostatnie kilka lat zarabiała na życie różnemi kobiecimi robótkami. W lipcu zeszłego roku po raz pierwszy, ujrzała Mary Lavenfort, która przysłała do niej osobiście z zamówieniami. Pani Belden została ujeta pięknoscą i uprzejmością młodej panny, Mary zaś poczuła do niej sympatię, jako do kobiety inteligentnej i znanej ze swej dobroczynności. Obie panie zaprzyjaźniły się wkrótce i z każdym dniem coraz bardziej zbliżały się do siebie. Tegoż lata Mary spotkała i poznała Klaweringa. Polubiła go, z czem nie ukrywała się zupełnie przed panią Belden. Opowiedziała jej jednak przytem, że bardzo wątpliwym jest związek między nimi, ponieważ stryj jej nienawidzi Anglików i nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Chociaż Klawering jest człowiekiem dość zamożnym, nie chce jednak zrzec się nadziei pozostania spadkobierczynią swego stryja; w przeciwnym bowiem razie, musiałaby żyć ze swym mężem w daleko skromniejszych warunkach, niż te, do jakich przywykła.

Mimo to młodzi ludzie zbliżali się do siebie coraz bardziej i pewnego razu podczas nieobecności stryja, który wyjechał za interesami, zaręczyli się w tajemnicy. Eleonora uznała za swój obowiązek powiadomić o tem stryja po powrocie jego z podróży. Rozgniewał się bardzo i rozkazał, by Mary zerwała natychmiast wszelkie stosunki z Anglikiem. Mary poddała się napozór woli stryja i rozeszła się z narzeczoną, który jakkolwiek opuścił wkrótce tę miejscowość, zamieszkał jednak w pobliskim miasteczku.

Pani Belden zawsze skłonna do pomagania zakochanym parom, stała się teraz pośredniczką między nimi i dla ułatwienia stosunków, poradziła Mary, by nazwała się Emą Belden, Klawering — Roy Robbinsem. Listy swe narzeczeni przesyłali sobie przy pomocy Dzen, która wtedy była już